

PRZYCZYNEK DO BIOGRAFII NIKIFORA DROWNIAKA NAZWANEGO „KRYNICKIM”

W książce Eli i Andrzeja Banachów *Historia o Nikiforze* wydanej w 1966 r. w Krakowie przez Wydawnictwo Literackie, rozdział 22 zatytułowany jest: *Nikifor staje się „Krynickim”*. Oto początek: „W dniach od 11 do 16 lutego 1963 r. Agonja Prasowa rozesała do dzienników następującą notatkę: „Życie znanego prymitywisty krynickiego Nikifora powoli się normalizuje. Otrzymał nowe mieszkanie, zainstalowano mu telefon i dano nazwisko — Krynicki. (...)”

W wydanym przez „Arkady” w 1983 r. albumie zatytułowanym *Nikifor Banach* przyznaje, że Nikifor miał swoje nazwisko, bowiem był nieślubnym dzieckiem Rusinki (Lemkini) Marii Derowniak, tak więc zgodnie ze stosowaną od wieków praktyką w takich przypadkach, musiał nosić panieńskie nazwisko matki!

We wszystkich publikacjach prasowych i książkowych Banach przedstawia się jako jedyny mecenas Nikifora i jako człowiek, który wie o nim wszystko. Nawet jeżeli jest to w jakiejś mierze prawdą, nie znaczy iż autor rzetelnie i prawdziwie referuje biografię Nikifora.

W zderzeniu obu informacji, które przytoczyłem powyżej, przedzielonych interwałem 17 lat — kryje się wiele podtekstów. Nasuwa się pytanie: dlaczego, po co miało miejsce takie mącenie wody wokół nazwiska Nikifora? Banach, choćby tylko z racji piastowanej przez siebie wysokiej, urzędowej funkcji już w 1947

roku musiał znać jego personalia. Przyznaje to bezpośrednio na stronie 43 *Historii o Nikiforze*, opowiadając jak próbował ocalić Nikifora od wysiedlenia wraz z innymi Lemkami z Krynicy w ramach akcji „Wisła”: „Pewnego ranka Nikifor zjawił się więc u nas wyraźnie przerażony. Przyniósł jakieś papiery, papiery groźne, a resztę dopowiedział niewyraźną mową.” Jest rzeczą oczywistą, iż papiery dotyczące wysiedlenia musiały zawierać dokładne personalia osób na to skazanych. Nie mogło więc być mowy o nieznajomości nazwiska Nikifora w okresie pisania pierwszej o nim książki.

Na terenie Krynicy mieszka liczna i rozgałęziona rodzina lemowska Krynickich, pochodząca z Powroźnika, wsi leżącej w pobliżu Krynicy Dolnej (Dawna Wieś). W momencie nadania Drowniakowi tego nazwiska, a trzeba wiedzieć, że jego matka pochodziła z Powroźnika, Krynicecy usilowali „zaopiekować” się krewnym i wyeliminować z tej roli Banachów. Zabiegali także po śmierci Nikifora o spadek po nim, dowodząc rzeczywistego pokrewieństwa, które ich łączyło ze sławnym malarzem-prymitywistą.

W tym iniejseu należy przytoczyć dane z odnalezionej przez Pawła Stefanowskiego metryki, aby to co piszę było zrozumiałe: Nikifor, a właściwie Epifan Drowniak urodził się 21 maja 1895 r. w Krynicy w domu nr 49 (oczywiście Krynicy-Wsi). Matką jego



Jedno z najwcześniejszych zdjęć Nikifora, sprzed pierwszej wojny. Już wówczas był malarzem i w tej roli się fotografował — z pędzlem w dłoni, obok obrazów o świętej tematyce



Jewdokia Drowniak, matka Nikifora. Zdjęcie „ze skrzyni,” retuszowane ołówkiem przez malarza

była Jewdokia Drowniak, córka Hryhoria i Tatiany z domu Krynickiej ze wsi Poworoznyk. Ojciec nieznany. Położna Akulina Szkwarła. Epifan był ochrzczony 22 maja 1895 r. w grecko-katolickiej cerkwi w Krynicy-Wsi. Ochrześcił go Mykola Koropaś, grecko-katolicki duszpasterz w Krynicy. Rodzicami chrzestnymi byli Andrej Horak i Kateryna, wdowa po Jakowi Rystweju — miejscowi wieśniacy. Był więc po babce Nikifor krownym Krynickich, a nadanie mu tego nazwiska okazało się później przyczyną dość kłopotliwych sytuacji dla inicjatorów owego lumbugu.

Przy okazji należy sprostować dwie inne „wolty” zawarte w publikacjach Andrzeja Banaacha. W *Historii o Nikiforze* na wspomnianej 43 stronie pisze, że przed 1947 r. Nikifor „chodził w niedzielę do cerkwi, był więc prawosławnym, nazywał się

Netyfor.” Jest w tym stwierdzeniu, obok przeinaczenia nazwiska jeszcze inny błąd, poważny i rażący. Na terenie Krynicy i zachodniej Lemkowszczyzny nigdy w przeszłości nie było prawosławia, autochtoniczna ludność lemowska była wyznania grecko-katolickiego, tak więc w Krynicy znajdowała się cerkiew unicka, lub jak mówiło się wymiennie — kościół unicki. Jest to bardzo istotna różnica. Ten błąd w zestawieniu z podanym w albumie „Arkad” rzekomym brzmieniem nazwiska „Drewniak” sugerują dość przewrotnie ukraiński rodowód Nikifora. Zachodzi w tym przypadku pewna subtelność fonetyczna: jeżeli nazwisko to będziemy podawać jako Drewniak, spolonizujemy je, jeżeli jako Derewniak — zukrainizujemy je, podczas gdy zgodnie z fonetyką języka, czy jak wolą inni, gwary lemkowskiej — nazwisko to brzmi Drowniak i tylko tak należy je poprawnie pisać oraz wymawiać. Zgodna z zapisem w metryce jest także pisownia nazwiska Nikifora w wydawanych przez amerykańsko-kanadyjskie emigracyjne skupiska lemkowskie kalendarzach i innych drukach, gdzie dość często wspomniany jest „artysta Nikifor Drowniak z Krynicy”. Już w 1961 r. *Karpatoruskij kalendar* zamieszcza dwa jego zdjęcia wykonane na deptaku w Krynicy. Przedstawiają Nikifora w otoczeniu członków zespołu piosni i tańca z Bielanki, będącego załącznikiem obecnej „Lemkowyny”. Kalendarz ten, podobnie jak inne wydawnictwa miało wielu Lemków rozproszonych w diasporze na terenie Polski. Z licznych relacji wynika, iż fakty te były znane Banaachowi przed podjęciem inicjatywy nadania Nikiforowi nazwiska — Krynicki.

Imię Nikifor w rzeczywistości było przydomkiem, imieniem zastępczym, lub czymś w tym rodzaju, nadanym mu przez Lemków, które zrosło się z nim nierozdzielnie. Wiem o tym z przekazów rodzinnych. Matka mówiła mi, że imię Epifan było w środowisku lemkowskim rzadkie, dziwne, a więc trudne do zapamiętania; pouadło jego rodzicielka była niemową, rodziny nie mieli, tulali się po służbie wśród obcych — któż więc miał zapaniętać, że chłopiec nazywa się Epifan? Ktoś, coś piąte przez dziesiąte przypominał sobie, więc jakby powtórnie go nazwano, nie mniej niezwykle i nieco dźwiękopodobnie — Nicefor.

W Krynicy Dolnej naprzeciwko szpitala, stoi jeszcze, choć dni jego są już policzone, drewniany dom wzniesiony przed wojną w nowszym stylu lemkowskim. Ulica nazywa się Kraszewskiego, dom ma numer 147 i jest jednym z wielu, jakie w latach międzywojennych budowało się wyłącznie z myślą o kuracjuszach i urlopowiczach tłumnie zjeżdżających do modnego kurortu latem i zimą.

Ten dom na pół pokryty blachą, na pół dachówką, z balkonikiem od frontu, jest ostatnią zachowaną budowlą z zasobnego ongiś obojścia szanowanego obywatela krynickiego Harasyma Gromosiaka. Z tyłu, po lewej stronie — patrząc od szpitala — stało szczytem do ulicy właściwe domostwo. Rozebrane zostało zaraz po drugiej wojnie światowej. Wiekowe, wzniesione z solidnych bierwion zwiezionych z Jaworyny — zwanej „górz Gromosiaków”, długie i parterowe, kryte strzechą, a później dachówką — było przez ponad ćwierć wieku stałym punktem pobytu, a raczej stałą bazą krynicką Nikifora Drowniaka.

Harasym Gromosiak, mój dziadek po kądzieli, zasobny gospodarz, ale też znakomity myśliwy i pszczelarz, uchodził jednocześnie za autorytet moralny krynickiej gminy lemkowskiej. Był patriarchą w pełnym tego słowa znaczeniu. Być może z odruchu serca, być może z poczucia moralnego obowiązku nakazanego przez Pismo Święte — przysparzał biednego włóczęgę, upośledzone, nieślubne dziecko nieszczęśliwej niemowy Jewdokji Drowniak. Pod obszernymi schodami wiodącymi na strych, w sieni dzielącej domostwo na dwie części, kazał Haras zrobić pokoi-kliktę z drzwiami zamykanymi na prostą zaworkę. Tam miał Nikifor legowisko i półeczki na swoje różne przybory, w tym i malarskie, na święte obrazki, różne oleodruki, gazetowe ilustracje itp. Tam też spoczywała jego skrzynia, którą wyprosił u babci; w niej trzymał swe największe „skarby”.

W dużej izbie, zwanej świetlicą jadalni wszyscy razem — domownicy i służba. Każdy miał swoje stałe miejsce przy stole.

Nikifor także. W czasie jego corocznych wędrówek, nikt tego miejsca nie zajmował i zawsze stał przy nim talerz z nakryciem, bowiem miał Nikifor swoje stałe miejsce także w domowej społeczności. Nie było ono wysokie, ale i nie podle. Roboty od niego nie wymagano, bo się do żadnej nie nadawał, choć czasem coś z własnej fantazji pomógł. Ci z pośród domowników, czy też służby, którzy z początku próbowali traktować go lekceważąco, skarceni surowo przez dziadka, zaniechali z biegiem czasu uszczupliwości. Był traktowany jako to „boże stworzenie”, któremu trzeba po chrześcijańsku pomóc. Po wsiach lemkowskiach, leżących dalej od Krynicy, gdzie w czasie swojej młodości lubił się w letnie miesiące włóczyć, miano go przez pół za przyglupa, ale przez drugie pół za nawiedzzonego, „jurodiwego” „bożego szaleńca” — a więc traktowano go z pogardą, ale też z przymieszaną zaobornego strachu, bo nuż kto wie, czy nie jest w konszachtach ze „złym” i potem ludziom zaszkodzi. Lepiej już było dać mu jałmużnę, coś do zjedzenia, jak trzeba to i skromny nocleg na sianie, byle sobie jak najszybciej poszedł dalej.

Dziwnym był dla otoczenia przez swój „działający” balokot i to malowanie od najmłodszych lat, które do niego porządnie nie było podobne. Zatrzymywał się ni z tego ni z owego, choćby pod cerkwią w Tyliczu i malował. Czasem rysy czyjejszy twarzy pochwycił, ale człowieka jakby przemienił w świętego. I strój bogaty cerkiewny mu przydał i aureolę namalował, a był to zwykły opilec i ludzie sarkali na to. Dziwne to było, niezwykajne. Bano się, że tymi obrazkami czary może czynić, uroki na ludzi i dobytek rzucić. Jakież inny mógł być pożytek i cel malowania takich bohomazów, którym kudy było do cerkiewnej doskonałości?

Nikifor odczuwał boleśnie takie traktowanie i z biegiem lat coraz rzadziej wypuszczał się poza Krynicę, którą ukochał sobie, bo to i były w niej „eleganckie pany”, które czasem wzięły obrazek i groszaka rzuciły, no i Harasym Gromosiak, który umiał się z nim od najmłodszych lat dogadywać i nigdy nie okazywał mu lekceważenia, a i od swojaków lepszego doznawał traktowania.

Według mojej, niestety już nie żyjącej matki Olgi, sprawa upośledzenia wymowy wynikała nie tyle z przyczyn ulomności fizycznej, ile z faktu, iż Nikifor był jak Mowgli, bohater „Księgi dżungli” Kiplinga, w okresie niemowlęcym i wczesnego dzieciństwa wychowywany wyłącznie przez matkę-niemowę. Była niedzarką — mówiła moja matka — w ogóle była upośledzona fizycznie. Chodziła na palcach i zawsze śpiesznym truchtem. Wydawała krótkie, wysokie dźwięki przypominające szczekanie psa, nie więc dziwnego, że chłopiec nie nauczył się mówić. Chowala go sama, nosiła w tobołku na plecach. Gnieździł się w różnych miejscach w zależności od tego, u kogo znalazła się robota. Trzymano się przeważnie od niej na odległość jak od zadzumionych: niezguła, do tego z nieślubnym dzieckiem! To były inne, zupełnie inne czasy. Ona nie nauczyła go artykułowania dźwięków znaczących w mowie ludzkiej, bo sama ich artykułować nie potrafiła. Pamiętam, jak byłam dziewczynką, jak ona zawsze za sobą wlokła małego Nikiforka, zawsze biegiem. On nie nadązał, nogi mu się płątały, wtody gniewnie na niego działała i bila. Jak mu zmarła matka, której nie żałował zbytnio, mówił nieraz do taty, że była biedna i głupia, stracił na pewien czas swój punkt oparcia. Został sam. Nasz dom ulubił sobie już wcześniej, a to za sprawą ojca, który zapraszał go na obiady w niedziele i on przychodził. Miał taki osobliwy zwyczaj, że za każdym daniem dawał łyżkę w talerz.

Kiedy dziadek zaproponował mu stały kąć ucieszył się. Przemieszkiwał w nim od jesieni do wiosny bez przerwy, a potem udawał się na wspomniane wcześniej wędrówki po Lemkowszczyźnie. Miał od młodych lat poczucie godności, a swoje obrazki traktował jako swoisty środek wymienny-płatniczy. Zawsze po zimie, kiedy zbierał się do drogi przygotowując węzełek z niezbędnymi w jego pojęciu przedmiotami, robił z dziadkiem „rozliczenie” za gościnę. Była to forma rewanżu, jak między równymi sobie. Nikifor honorowo wręczał Harasymowi kilka, czasem więcej obrazków, wykonanych w zimowe miesiące. Przed wojną

lubił malować na denkach pudełek dużych, eleganckich papierosów z ustnikiem o nazwie „Egipskie”. Była to dobra gatunkowo, biała tektura i malowane na niej obrazki Nikifor traktował szczególnie uroczyście. Takie też, obok innych, większych, malowanych na kartonie i byle jakim papierze wręczał Gromosiakowi. Scena ta niezmiennie, co roku wywoływała wiele wesołości u domowników, ale dziadek, mimo, iż nie przykładał wagi do owych malunków, chęć okazać Nikiforowi, że traktuje go poważnie i godnie, nie tylko ich nie wyrzucał, ale chował w swojej izbie obok przyborów myśliwskich, co było nie lada wyróżnieniem. Gdy Drowniak przychodził zimować, pokazywał mu je wszystkie, co sprawiało malarzowi wielką radość.

W ten sposób uzbierało się w domu dziadka dużo wspaniałych, przedwojennych i z czasu okupacji malunków Nikifora. Co się z nimi stało? Przetrawiła wojnę, przetrawiła Gromosiaka, który w latach okupacji zademonstrowany za współdziałanie z KOPE-em w Muszynie i za pomoc w ukrywaniu broni w Czarcin Jarze, więziony był na Montelupich w Krakowie, razem w jednej celi ze Stanisławem Muraszewem, a potem został rozstrzelany na Wzgórzach Krzesławickich. Przeniesione ze starego, rozebranego domu już po zakończeniu wojny, do domu dla letników, przetrawiła akcję wysiedleńczą w 1947 roku.

Po wywiezieniu Nikifora na zachód, mimo interwencji panabanachowych, kiedy okazało się, że wrócił on, naprzód bez swojej



Nikifor sfotografowany z listem proszącym na deptaku w Krynicy. Zdjęcie z lat dwudziestych



Nikifor przy obrazach. To zdjęcie, podobnie jak inne, pochodzi „ze skrzyni” malarza. Widoczne zamilowanie malarza do ujęć hieratycznych



skrzyni, a potem i skrzynia się znalazła, ale bez obfitości przedwojennych obrazków, ruszył Banach na teren Krynicy Wsi szukać, czy jeszcze czegoś się wśród ludzi nie znajdzie. Dowiedziawszy się o przyjaźni między Gromosiakiem i Nikiforem dotarł do domu pod numerem 147 na ulicy Kraszewskiego. Mieszkał w nim pewien dezertor z armii rumuńskiej, który Karpatami aż do Krynicy uciekł i u dziadka Harasa schronienie znalazł, za parobka został przyjęty, papiery „lewe” otrzymał, dzięki czemu uniknął kuli w łeb, a potem się z Gromosiakową pasierbicą ożenił i jak Lemków wysiedlono — za gazdę został. Kiedy dowiedział się za czym chodzi ten pan z Krakowa, zdecydował, że obrazki, które jako rodzinne pamiątki (tak je traktowano) po ojcu miała otrzymać moja matka, sprzeda intratnie. I tak też zrobił. Owe placidła z serca i wdzięczności Nikiforowej sprzedał onż Rumun niezwykle korzystnie panu Banachowi za dwa litry wódki czystej, pięć kiełbasy i kilkadziesiąt złotych (przed wymianą) na dokładkę.

Był to biznes dla obu stron znakomity — jedna z nich mogła efektywnie kontynuować „ganz bal” w gronie kolegów, a druga przygotować się do wielkich wystaw w kraju i za granicą.

We wszystkich publikacjach, we wszystkich rozmowach o Nikiforze przejawia się wątek jego żebraczych upodobań. Jest w tym wiele zdziwienia: po co? Dlaczego? tym bardziej, że w końcu otoczony był opieką, zarabiający poważne sumy, także w obecnej walucie, nie tylko, że nie musiał, ale nie powinien był żebrnąć. Ten maniackawy nawyk codziennego żebrania w pijalni, czy wystawiania kapelusza na datki ogromnie utrudniał jego opiekunom wywindowanie Nikifora na piedestał Wielkiego Artysty w rozumieniu tegoż terminu przez tak zwanego masowego odbiorcę. Powodował zżymanie się na niego wielu możnych i „światłych”.

Moja matka powiedziała mi kiedyś, że ci ludzie zupełnie nie rozumieją o co tu chodzi. Jest to historia stara i barwna. W Krynicy wsi stała cerkiew unicka pod wezwaniem Piotra i Pawła, obecnie zamieniona na kościół rzymsko-katolicki. Było to miejsce kultu sławne na całej Lemkowszczyźnie po obu stronach granicy polsko-słowackiej. Na początku lipca rokrocznie odbywał się w tej cerkwi wielki odpust, na który ciągnęli ludzie w pielgrzymkach pieszo i wozami nieraz aż spod Koszyc, z Huculszczyzny. Po obu stronach potoku Krynica od szpitala w dół do cerkwi rozkładały się gęstym szpalerem kramy z jarnarzo-odpustowymi wspaniałostkami. Dewocjonalia, zabawki, kramy z jedzeniem, z napojami, krzyk, wrzask, rwetes, stroje odświętne pątników, bogate ludowe, ale i skromne chudzin różnorakich. Barwy rwały oczy, zawsze przyjeżdżał jakiś przewoźny lunapark. Polykacze ognia, zjadacze szklanek, kieliszków, silacze rozrywający łańcuchy bawili pobożnych pielgrzymów. Przybywali także żebracy. To było ich święto. Do Krynicy ścigały rzesze owych oczajduszów, którzy żorowali na ludzkiej naiwności i głupocie. Karni, zdyscyplinowani, posiadający sprawną organizację, wedle zasad u nich obowiązujących otrzymywali miejsce do żebrania. Pokrywały się one z terenem objętych kramami. Elita żebraczej konfraterni sadowała się zawsze najbliższej cerkwi.

Idąc od szpitala w dół lewą stroną ulicy Kraszewskiego, na huku mijamy uliczkę skośnie biegnącą w stronę toru kolejowego, a za nią budynek kuźni. Dalej, naprzeciw szkoły podstawowej, przed pawilonem mieszczącym sklep spożywczy, znajduje się wolna przestrzeń. W latach międzywojennych stała tam obszerna karczma, która należała do mojej ciotki Julii, po mężu Kusyk. Otóż „król” żebraków-Lemków (bo tylko oni mogli wtedy żebrnąć) na parę dni przed odpustem co roku ustalał z ciotką, jakie to ekstra delicje mają być dla żebraczej braci sprowadzone. Pamiętam z jakim wzburzeniem opowiadała mi moja matka, że specjalnie dla nich sprowadzano w tajemnicy najlepsze wina węgierskie, hiszpańskie, wódki ekstra od Baczewskiego ze Lwowa itd. Zamawiano także dwie, a czasem trzy kapole gudałów — lemkowski Cyganów. W pierwszy dzień odpustu — trwał on dwa dni — po zamknięciu karczmy o dziesiątej wieczorem, jak zwykle, tylnym wejściem schodzili się żebracy. Zaskaniano okna, przygo-

towywano balie z gorącą wodą, a oni zrzucali swoje łachy, odwiązywali „ropiejące rany”, zdejmowali strupieszade peruki z głów, w cudowny sposób odzyskiwali brakujące ręce i nogi, poczym zaczęli się myć i przebierać. Byli wśród nich i prawdziwi kalecy, ale stanowili oni zdecydowaną mniejszość. Stroili się w cudaczno stroje, będące jakimiś ich projekcjami marzeń o wspaniałości. Gudaki już z eicha przygrywali. W kuchni kończyły się piec i gotować mięsiva, sosy, zupy i inne frykasy na calonocną ucztę.

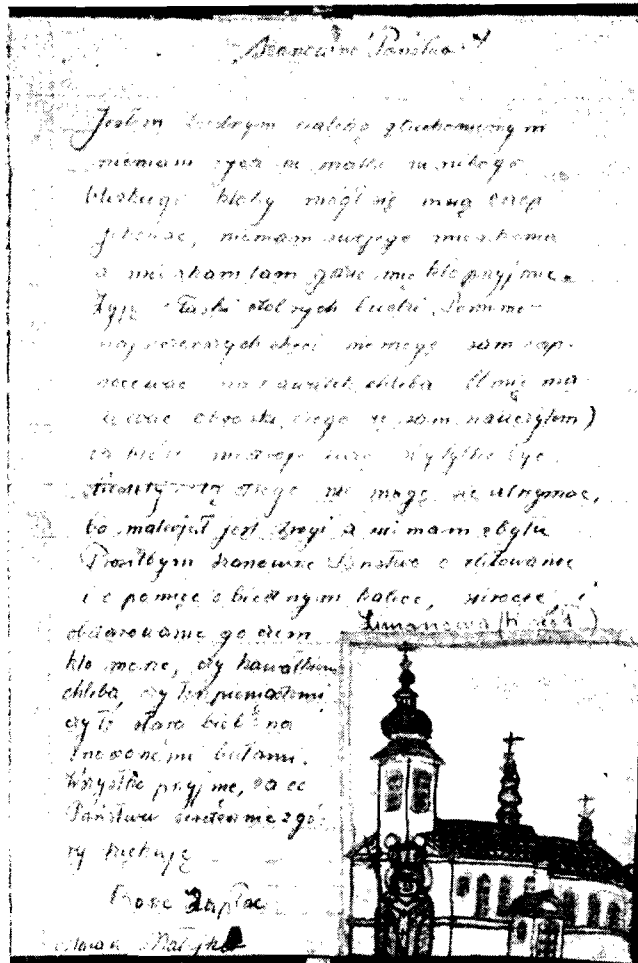
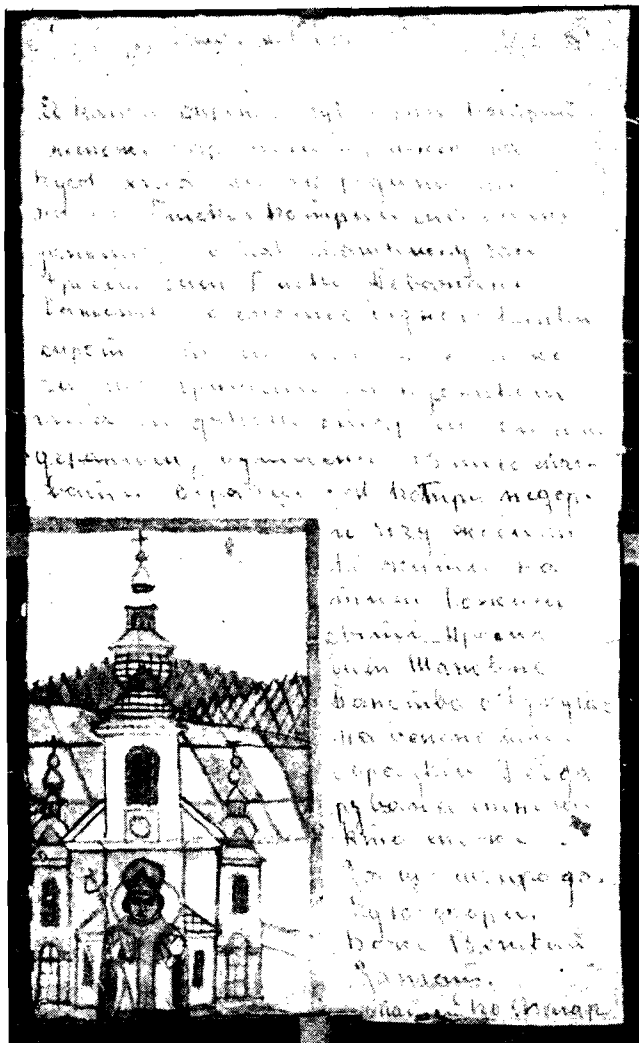
Ponieważ o całej sprawie nikt nie śmiał się dowiedzieć pod groźbą utraty życia, a jednocześnie do posługi przy licznych żebrakach często nie wystarczała normalna obsługa karczmy, więc za zgodą „króla” i rady starszych żebraczej konfraterni czasem do pomocy dobierano kogoś z rodziny. I tak parę razy moja matka była przy takim karnawale dziadowskim, ale zawsze brano do pomocy Nikifora, który jako niemowa był pewny, a jednocześnie, zafascynowany niesamowitym misterium, ożywiony i dzięki temu przydatny.

Szczególnie fascynująca była druga noc, już po zakończeniu odpustu. Wtedy, zgodnie z życzeniami żebraków, wyganiano ostatnich gości przed dziewiątą, zresztą większość pątników już opuściła Krynica. Ablucje były szczególnie uroczyste, stroje jeszcze efektowniejsze niż poprzedniego wieczora. Nikifor patrzył rozszerzonymi ze zdumienia oczami, jak ci nędzni, skrecony w dziesięciuro, jęczący, ropiejący, skamlający ludzkiej łaski, jak te strzępy ludzkiego rodzaju, nagle przechodzą w zdumiewającą metamorfozę. Prostują się, czyszczą, trefią, liczą na stołach bajajskie kwoty, choć w groszakiach, gudaki im grają, Kusyki w pas się kłaniają. Żebraki, a pany! Wielkie pany! Nie raz, niejeden z nich nóż ostry jak brzytwa przyłożył mu do gardła i śmiejąc się z przerażenia niezguly, groził śmiercią jak piśnie choć słowem o tym co widział, a Nikifor padał na kolana, ręce błagalnie wznosił i dziękując zapewniał, że on — nigdy! Śmiały się z niego żebraki, aż karczma się trzęsła, ale kiedy zabawili się dość, tym jeszcze od nich nędzniejszym stworzeniem, potrafili mu rzucić nieraz całe dwadzieścia złotych! Do stołu go zapraszali, ale bał się do nich dosięść, za wielki budzili w nim respekt. Patrzył na tańce, na swawolne hulanki, patrzył na to, jak szef miejscowej policji, już w cywilnym ubraniu bierze „dołę” od żebraków i jaki jest grzeczny dla ich „króla”. Słyszał w rozmowach w karczmie, że takich potraw, że takich win nie pije i nie je wielu tych polskich panów, co tam wyżej do zdroju przyjechali!

Patrzył jak nad ranem kładli się żebracy spać pokotem a potem chyłkiem rozjeżdżali się w różne strony, po zapłaceniu wszelkich rachunków, opłat na rzecz swojej organizacji, jeszcze uważając niezłe suny zmienione już na pieniądze papierowe lub srebrne.

I tak to pozostało w jego świadomości. Takim zawsze chciał być. Podjął raz nawet próbę, przelamawszy nieśmiałość, dostania się do klanu żebraczego. Nie przyjęli go, wysmiali, kazali „trenować”, to wtedy, być może, być może...

Wspomina się czasem o perypetiach Nikifora Drowniaka związanych z wysiedleniem go z Krynicy, ale jak dotąd nikt sprawy rzetelnie nie przedstawił a ociera się ona o tragifarsę. Otóż w 1947 roku malujący na swoim murku, na krynickim deptaku, został aresztowany i postawiony w stan oskarżenia jako szpieg, uacjonalista przygotowujący szkice mające ułatwić inwazję Krynicy przez UPA!!! Tak poważne podejrzenia miejscowej milicji wywołały fantastyczne transformacje architektoniczne, które miał pecha tego dnia malować. Kontaktów z banderowcami mu nie udowodniono, ale strzeżono go bardzo. Stałe miał koło siebie kilku uzbrojonych ludzi. „Jazem był wysiedlany 17 lipca 1947 roku — mówi Bazyli Sowa, Lemko zamieszkały obecnie w Krynicy — i wtedy przywieźli do Łabowej tego Nikifora. Strasznie go obstawiali, bo szpiega przywieźli! On w naszym transporcie jechał do Krzyża i do Pily biedaczysko. Znałem go z Krynicy z przedwojny i tak sobie myślałem, żeby niemowa był szpiegiem — to raczej dziwno. Przecież to było rysowane i malo-



Listy proshalne, zawsze z obrazkami Nikifora, pisane przez jego znajomych: lewy: po ukraińsku, prawy — po polsku

wane z jego fantazji i ukochania Łemkowszczyzny. Może dlatego tak dużo malował, bo nie mógł się wygadać? Zawieźli go gdzieś do województwa gdańskiego, a on pomału uciekał do Krynicy. Trochę się wiozł a trochę pieszo dotarł spowrotem tutaj. Jak się zjawiał, znów go wywieźli, teraz jako Łemka, już nie szpiega, ale gdy znów wrócił to go chcieli wywieźć trzeci raz jako żebraka.”

Za Nikiforem ujął się w kołcu Juliusz Zawadowski, ówczesny Naczelny Lekarz uzdrowiska i zarazem burmistrz Krynicy. To właśnie Zawadowski uchronił Nikifora od definitywnej deportacji. W tym dziele pomagał także doktor Sawczak, co trzeba podkreślić gwoli prawdzie i sprawiedliwości. Banach pojawił się w zasadzie już potem, a w swoich książkach rzecz zmistyfikował.

„Banach moim zdaniem — mówi Bazyli Sowa — dlatego wiele faktów przekręcił lub nie podał do publicznej wiadomości, bo tak było mu wygodnie i dla koniunktury politycznej i dla interesu. On się przecież rozpytywał o Nikifora u tutejszych Łemków, którzy zostali. Rozmawiał także ze mną kilka razy, a z tego, co myśmy mu powiedzieli nie do książki nie weszło.”

Niech nikomu się nie wydaje, że na tym zakończyły się próby usunięcia Nikifora z Krynicy. Mówił mi Antoni Kroh, że w czasie kiedy pracował w Muzeum Okręgowym w Nowym Sączu zetknął się tam z pismem Komendy Miejskiej MO w Krynicy wystosowanym do władz powiatowych. Pismo to, ostre w tonie, pochodzi z roku 1954 czy 1955 i wnosi o wysiedlenie Nikifora, jako że jest żebrakiem, że jest natrętny, napastuje ludzi, ubrany jest niechlujnie i na kuracjuszach i na turystach może sprawiać

przykre wrażenie. Wnioskodawcom chodziło o to, by wreszcie ten oberwaniec przestał szpecić ulice kulturalnego i czystego uzdrowiska.

Osoby znające Nikifora bliżej i dokładniej, wskazują na jego bezpośrednie i mocne emocjonalnie związki z cerkwią grecko-katolicką i ze sztuką bizantyjską. Miał on ogromną słabość do cerkwi, popów i ich rodzin. To był jego cały, jakby pozareligijny kult. Choć może to zabrzmieć paradoksalnie, w hierarchii wartości jaką sobie wytworzył, kult cerkwi stał co prawda na najwyższym poziomie, ale wznosił się bezpośrednio nad kultem żebractwa.

Miał Nikifor także swoje zdecydowane sądy estetyczne. Z opinii kilku osób, które potrafiły się z nim dogadać wynika, iż nie uznawał on malarstwa europejskiego. Uważał, że jedynie ważne jest to, które przyszło z Bizancjum. Specjalnym uwielbieniem otaczał ikonę. Bardzo lubił kręcić się po cerkwi. Udawał, że w niej służy. Przed wojną, jak było w cerkwi pusto rozsiadał się czasem w gospodarskich ławkach i udawał, że jest kimś bardzo ważnym, ale po wojnie kiedy już osiągnął sukces, kiedy to zrozumiał, chodził specjalnie do tej cerkwi, choć to już był kościół rzymsko-katolicki, rozsiadał się w ławce, rozwał w ręcz po pańsku, podpierał głowę ręką. Cała ławka była jego, a dosiąść się mógł jedynie ten, kogo on znał.

„Przychodził do mnie często na rozmowę — mówi Bazyli Sowa — ciągnęło go, bo ja księdza (popa) syn. On do poważnej rozmowy to chciał tylko księdza, księżego syna, a jak nie — to świętego Mikołaja. Miał ogromne poczucie swojej wartości. Pamiętam jak nieraz po swojemu przygadywał mi: nie ma kra-

watu, nie ma niczego, a ze mną rozmawia? Ty bez krawaty dziad, a ja jest wielki malarz. Mówił nieraz, że najwyżej ikonę poważa, a natura jego przedstawiania dziwna była w obrazach, które malował. Św. Mikołaja często rysował w rosyjskiej czapce, tak samo św. Piotra i na dodatek w kufajce. Pytałem go o to, ale nie chciał powiedzieć czemu tak maluje.

Lubił jak ktoś do niego po lemkowski zagadał. To go wręcz uzdrawiało. Raz do niego, na jego urodziny przyjechała z Mokrego do Krynicy grupa śpiewacza, może sześć osób. Chcieli mu odśpiewać kilka pieśni, że tak rozslawił naród lemkowski w świecie. Było to w 1965 r. Pytali mnie gdzie Nikifor mieszka. Odpowiedziałem: Nikifor mieszka między ludźmi, trzeba go szukać. Poszliśmy razem. Prawie koło Staroego Domu Zdrojowego widzę go jak idzie z tą tabliczką, laseczką się podpierał i w białej czapce.

Zaraz ci śpiewacy otoczyli go i zaśpiewali mu „Mnohaja lita”. Tłumy ludzi, kuracjuszy się zebrały wokół nas, niesamowite tłumy nas obskoczyły. Nikt z nich chyba nie słyszał, jak my śpiewamy elegancko „Mnohaja lita”, nasze lemkowskie „Sto lat” — a on jak to usłyszał, po prostu się rozplakał, oparł się rękami o nas. obezwładniał całkiem z wrażenia, jakby zemdlął.

Jak miał już tę budkę do malowania, wymagał, że mam go choć raz na tydzień odwiedzić i pogadać z nim naszą gwarą. Gdybym go nie odwiedził, to by krzyczał, po prostu by mnie opluł. Co by to miało znaczyć, żebym go tak znieważył.”

I tak zarysował się dość niespodziewanie nowy wątek — roli jaką zaczął pełnić dla swego małego narodu, jeszcze za życia, w miarę jak sława jego zataczała coraz to szersze kręgi na świecie. Stało się tak jak jest powiedziane w Piśmie Świętym, że ostatni staną się pierwszymi. Nikifor z pogardzanego niedorajdy, z poprychała stał się lemkowskim bohaterem, tytułem do dumy, kimś kto jednoczy lemkowską społeczność w diasporze! Żaden z najwybitniejszych malarzy — prymitywistów w świecie takiej roli nie odegrał. Przy tym wszystkim, trzeba sobie zdawać sprawę, iż nie oznacza to wcale, że wszyscy Lemkowie akceptują jego malarstwo, czy, że choćby je znają. Nie z tych rzeczy Przyznają się do Nikifora jedynie jako do rodaka, który stał się w świecie najslawniejszym spośród nich wszystkich.

Należy w tym miejscu zwrócić uwagę na fakt narastania specyficznego mitu Nikifora Drowniaka wśród Lemków, na coraz częstsze przypadki otaczania go po śmierci swoistym kultem. Rodzi się mit, który zaczyna coraz swobodniej odchodzić od faktów, kreując go na lemkowskiego „narodowego świętego”.

„Ja w swoich zapiskach — mówi Bazyli Sowa — napisałem taką uwagę co do Nikifora: od młodości wychowany w biedzie, wyzysku — matka służąca, on bez przestanku wydawany na pośmiewisko, bywał za służącego — paś bydło wypadło mu nieraz, czy gęsi albo świnię, czy co inne robić — uciekał od tego i bez przestanku widział siebie ponad to wszystko. On się wyodrębnił od zwyczajności i to już od bardzo dawna przed wojną. Chciał się zrobić jakimś przywódcą tego typu, który widział niedolę ludu biednego jak on sam był. On był wyrazicielem tej biedy lemkowskiego ludu i myślał, że jak ludzie od niego wykupią i rozaiosą po świecie obrazki, to przedstawi światu, jak skrajnie jeszcze tutaj ludzie żyją. Ja wiem, że on dzisiejszej rzeczywistości nie odpowiadał. On nie górował w wielkich polaciach i pisał w swoich wyrazach stale, bez przestanku: Pomóże mi, bo jestem biedny, bo jestem niedolętny. Mówią o Nikiforze, że nie umiał czytać i pisać! Tyłu ludzi jest kształconych wysoko, a nie potrafią tyle, tak prosto i od serca powiedzieć, co on swymi obrazkami.

Nikifor, ten nieuk, ten niedołęga, nieślubny syn gęglawej posługaczki, nagle stał się wielkim tego świata, geniuszem, a to oznacza, że nie on musiał iść do świata, tylko świat przyszedł do niego, a on z naszego narodu pochodzi.”

Opinie Bazylego Sowy przez fakt jego wysokiej pozycji moralnej, autorytetu, jakim się cieszy wśród swych współbraci, warte są przytoczenia, choćby dlatego, że nie są jego prywatnym, odosobnionym zdaniem. Staralem się zachować ich oryginalny kształt stylistyczny, klimat i barwę. Rzucić się w oczy interpre-

tacja funkcji społecznej, idąca w kierunku mesjanistycznego idealizowania i wyolbrzymiania — kreowania malarstwa i osoby Nikifora Drowniaka, przypisywanie mu intencji i atrybutów nieistniejących faktycznie.

Na jego grób w Krynicy przyjeżdżają Lemkowie z różnych stron Polski, a czasem i z zagranicy, by złożyć na nim kwiaty i pomodlić się za Nikifora. Dwa lata temu w Krynicy byłem świadkiem, jak żeński chór grecko-katolicki przy kościele O.O. Bazylianów w Warszawie, prowadzony przez Jarosława Polańskiego (Lemka pochodzącego ze wsi Polany), przygotowujący się do występów w Rzymie, na zaproszenie Ojca Świętego, przed wyjazdem odśpiewał przygotowany program Nikiforowi nad grobem! Jemu na chwale, a sobie na... szczęście w wielkim świecie.

Powstają wiersze o Nikiforze. Mam na myśli nie kokietyliwie-makijażową, a od pewnego czasu samochwalczą twórczość na tematy lemkowski Jerzego Harasymowicza, ale próby poetyckie powstające wśród młodzieży lemkowskiej. Występuje w nich silnie motyw identyfikacji narodowej z krynickim mistrzem, podkreśla się jego lemkowski pochodzenie, ale też i próby zawłaszczenia jego osoby, sławy. Oto jeden z takich wierszy:



Podobnie jak na zdjęciach przedstawiał siebie Nikifor na obrazach. Oto jeden z takich wyidealizowanych portretów, z księgą w dłoni

„Drowniak”

Ty coś na deptaku głodny nieraz stał
Niejednemu wilgę wykreśliłeś nową
Za kąt i kawałek chleba
Szczerze i słono płaciłeś
Dwa razy na zachód wysłała cię Wisła
Dziś genialny polski artysta

Autorem jest Piotr Szkwarła z Krynicy. Wiersz przytaczam, mimo jego niedoskonałości, gdyż oddaje syntetycznie i emocjonalnie w jaki sposób myśli o „Krynickim Matejce” młode pokolenie Łemków.

Skoro jest mowa o Nikiforze i jego twórczości, o tworzeniu się mitów po jego śmierci, myślę, że warto przy okazji zaznaczyć, iż za życia stał się on także wzorcem artystycznym do kopiowania (i to dosłownie) przez malarzy-amatorów spragnionych sukcesów.

Spotkałem się w różnych stronach Polski z dowodami takiego stanu rzeczy. Zbierając materiały na terenie Janowa dotyczące kola, do którego należało kilku wybitnych prymitywistów, jak Ociepka, Urbanek, Stolorz, Bąk, Wróbel i Sówka natrafiłem na taką ciekawą relację. „Niewielu było takich u nos — mówił nieżyjący już Antoni Jaromin — w kole, co by mieli coś osobistego do wyrażenia. No, a wszyscy chcieli się wybić, co tu robić w takim razie? Była moda na tego niemowe z Krynicy, na Nikifora. Pisali o nim, bębniłi, obrozki pokazywali w rozmaitych gazetach, to Stolorz i Bąk zaczęli się powtarzać po Nikiforze. Stał się on dla nich wzorcem, nawet pisali na obrazach jak on, żeby się jak najbardziej upodobnić. I co? Chwyciło, komisje nagrody dawali, w gazetach zaczeni ich wychwalać, że prima sort, że oryginalne i takie inne bzdurki. Bąk to nawet specjalnie był w Krynicy u Nikifora. Jak wrócił, to się dziwował, że spał za tapczanem na podłodze, a ślinami farby rozrabiał. Myślał nawet, że to z tego specjalne odcienie kolorów Nikifor wydobywa i sam potem pluł do farbów.”



Jedno z ostatnich zdjęć Nikifora. Stary, zmęczony, schorowany miał już to, o czym dawniej marzył — dom, samochód, radio, zegarki — ale nie umiał się już tym cieszyć